Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena pojedyńczego numeru 30 gr.

PAX

O CHRZEŚCIJAŃSKĄ KULTURĘ JUTRA — DWUTYGODNIK

N 7 R 3

ROK III — NR 7
1 Kwietnia 1935 r.
WILNO-POZNAŃ



O chrześcijańską
kulturę jutra —
DWUTYGODNIK

ANTONI GOŁUBIEW

DWA WZGLĘDY

Znam taki wypadek: pewien młody Anglik zwiedzał Polskę, chcąc poznać jej kulturę. Nie był to turysta w ścisłem tego słowa znaczeniu — był handlowcem i chciał zbadać rynek (były to jednak „dobre czasy"). Chciał zbadać, czy w Polsce istnieje popyt na jakiś tam artykuł — nazwijmy go artykułem codziennej potrzeby ludzi kulturalnych. Interesowało go życie inteligencji, ale chciał również zajrzeć „pod strzechę". Na swoje nieszczęście nie umiał ni w ząb po polsku, niemiecki zaś kaleczył prawdziwie po angielsku. To też wzięli go zaraz w obroty specе od reprezentacji. Jeździł nasz Anglik po muzeach, galerjach sztuki, oglądał Wawel, Zamek królewski i Łazienki, patrzył na piękno naszych miast z kopca Unji lubelskiej czy z góry Zamkowej. Gdy zaś proponował wycieczkę na wieś, wieziono go do Wilanowa, pływał po trockiem jeziorze, lecz przez wioski przejeżdżał w takiem tempie, że widywał tylko ponoszące w przestrachu konie. Anglik był dobrze wychowany i gościnnym gospodarzom nie robił awantur. Przypuszczam jednak, że wybrał się zapewne gdzieś pocichu bez troskliwej eskorty i obejrzał to, co chciał obejrzeć. Eskorta jednak robiła wszystko co mogła, by nie mógł na to nawet zerknąć okiem.

Szalbierstwo to miało swoje usprawiedliwienie patrjotyczne. Gościom pokazuje się pokoje najbardziej reprezentacyjne. Gorzej jest, że uprawiamy je stale wobec siebie samych: oglądamy sami tylko pokoje reprezentacyjne. Gdy ktoś mówi o nędzy, brudzie, analfabetyzmie, zasługuje sobie zaraz na miano rewolucjonisty. O tych rzeczach lubimy milczeć; boimy się bodaj wspomnieć. Gdy rozprawiamy o kulturze naszej wsi — a jakież to teraz modne! — musimy się wnet zachwycać kilimkami, piosenkami o Jasieńku i Kasieńce, tańcami ludowemi; oto i cała kultura wsi w pojęciu przeciętnego mieszczucha. Życie wsi, jej warunki, jej bolączki, codzienny razowiec dnia — to wszystko ma być czemś poza kulturą. Tymczasem wieś tych swoich tańców ludowych, kilimów, kapot z wyłogami i pasiastych spódnic coraz bardziej się wstydzi i coraz bardziej wyrzeka. Wieś zaczyna się ruszać, a rozmaici działacze ludowi ruch ten podsycają w bardzo różnych celach. Wieś chce ruszać po inną kulturę, pociąga ją pewien egzotyzm kultury miejskiej, którą zaczyna częściowo przejmować, zaczyna przystosowywać ją do swych lokalnych warunków. Rzecz jasna, że wpływa na to rozwijająca się oświata, kto zaś zna wieś lepiej, ten wie, iż pomiędzy pokoleniem młodem a starem istnieją przepaści większe, niż w mieście.

Integralnie z tem zagadnieniem łączy się w młodem pokoleniu na wsi rewizja dotychczasowych poglądów religijnych i społecznych. Czasy współczesne są dla wsi przełomowe i trzeba bardzo dbać o to, by dotychczasowe tradycyjne metody wpływania na wieś, stosowane przedewszystkiem przez duchowieństwo katolickie, wobec mnogości wpływów obcych utrzymały swą przewagę. Całe społeczeństwo świeckie powinno służyć w danym wypadku pomocą, powinno pamiętać o swojej odpowiedzialności za utrzymanie i rozszerzenie na wsi kultury chrześcijańskiej.

Zadania ziemiaństwa są tutaj całkiem jasne — byleby chciało ono je spełniać. Większe jednak znaczenie ma niewątpliwie dziś wielkie miasto. Jakie są drogi wpływania wielkiego miasta na wieś? Istnieją drogi wpływu bezpośredniego: radjo, pisma, zetknięcie się osobiste, służba wojskowa i t. p.; lecz ponadto istnieje pośrednik kulturalny między wielkiem miastem a wsią — **pośrednikiem tym jest t. zw. miasteczko**. Trudno określić, czem różni się miasteczko od miasta — choć język rozróżnia wyraźnie te dwa pojęcia, a niewątpliwie dałyby się określić pewne odróżniające kryterja społeczne, gospodarcze, obyczajowe i ogólnokulturalne. Uchwytujemy tę różnicę wyraźnie. Otóż z miasteczkiem obcuje wieś częściej i bliżej, niż z wielkiem miastem. W wielkiem mieście mieszkaniec wsi do dziś czuje się obco, nie umie dostosować się do jego atmosfery, tempa, pośpiechu. W miasteczku czuje się prawie jak u siebie, tam jeździ do kościoła, tam załatwia przeróżne sprawy urzędowe, posyła dzieci do szkół i t. p. Może istnieć często antagonizm między wsią i miasteczkiem, tak ostro zaznaczony w ostatniej powieści Kurka, niemniej jednak wpływ miasteczka na wieś jest bardzo duży. To też chcąc dotrzeć do wsi, należy zwrócić baczną uwagę na miasteczka, a kto chce mieć wpływ na wieś, nie powinien miasteczka zaniedbywać.

Miasteczko godne jest głębszego zainteresowania **nietylko jako pośrednik, lecz również jako objekt samoistny**. Liczba ludności zgrupowanej w gminach miejskich, liczących od 20 tys. wdół, wynosi wedle spisu z r. 1931 — 3 miljony 260 tys., do tego trzeba dodać ludność miasteczek, zaliczonych do gmin wiejskich — co da w sumie znaczny procent ludności Polski. Wspomnieliśmy wyżej, iż ludność ta żyje w znacznej mierze resztkami kulturalnemi wielkich miast (miasta od 20 tys. wzwyż = 5 milj. 429 mieszkańców), co oczywiście nie jest zjawiskiem normalnem. Wystarczy sprawdzić takie pozycje, jak szkolnictwo średnie, czytelnictwo, teatr, wydatki na podniesienie zdrowotności publicznej i t. p., by skonstatować liczne dysproporcje. Niewątpliwie pod wielu względami jest dzisiaj lepiej, niż było dawniej, istnienie dysproporcyj jednak nie da się zaprzeczyć. Jeszcze gorzej sprawa się przedstawia, jeśli chodzi o pewne nastawienia psychiczne, o których mówimy na innem miejscu. I wielkie miasto i same miasteczka uważają mniejsze ośrodki za coś gorszego pod względem kulturalnym i mają może **częściowo** rację. Skonstatowanie to jednak ma raczej charakter statyczny, niż dynamiczny, to znaczy, że społeczeństwo robi zbyt mało, by stan ten usunąć, a zapatrywanie takie utrudnia sprawę podniesienia prowincji, chociażby przez hamujące działanie na energiczniejsze jednostki, które bardzo niechętnie wyjeżdżają z miast większych.

* * *

To są wszystko przesłanki, które winny nas skłonić do większego zainteresowania się t. zw. miasteczkiem, niż dzieje się to dotychczas. Trudności są niewątpliwie duże, a przysłowiowa bierność ludności mniejszych osiedli miejskich, wyżywającej się w drobnych plotkach i rozrywkach dnia codziennego, utrudnia zadanie. Numerem niniejszym PAXu chcemy na to zagadnienie zwrócić uwagę naszych czytelników. Numer ten nie wyczerpuje — rzecz jasna — zagadnienia. Spełni jednak swe zadanie, jeśli zwróci uwagę na kwestje poruszone.

AGA

GATUNEK PRIMA NA GŁUCHEJ PROWINCJI

1.

Znamy, znamy dobrze te litujące się spojrzenia, te smętne kiwanie głowami:

— Jakto? Jedziesz do tej głuszy! Chryste Panie, i cóż ty tam będziesz robił? Ty, inteligent!

A młody człowiek, który skończył właśnie uniwersytet, a przed którym wisiało widmo „niepotrzebnego człowieka", z rozpaczą rozkłada ręce:

— Trudno, kryzys ekonomiczny. Trzeba się godzić na każdą pracę.

I jedzie inteligent na katorgę. Rozpoczyna inteligent tryb życia na ciężkich robotach. Spogląda z tępą nienawiścią na małe domki **tej dziury,** na ludzi — nie na ludzi, **na prowincjuszów.** Wzdycha inteligent na wspomnienie rodzinnego wielkiego miasta, mój Boże, czyżby miał tutaj zostać na zawsze, **na tem pustkowiu?**

I otrzymuje inteligent pełne współczucia listy od innego inteligenta z miasta, od szczęśliwca, co dostał posadę w izbie skarbowej, czy w gimnazjum, i który jest **wielkim światem**. „Jak ty tam możesz wytrzymać bez kultury, bez kina, kawiarni, ba! bez teatru — ty, inteligent?" — Dziwi się biedny wygnaniec — istotnie, jak on może wytrzymać.

2.

Inteligent ów jest nieszczęśliwy naprawdę. Czuje się obco w środowisku, w które wszedł. Grywa wprawdzie w bridża z anegdotycznym lekarzem, aptekarzem i proboszczem, umizga się do młodych panien, które nawet **w takiej zapadłej dziurze** bywają czasem „niczego", pracuje w organizacjach, jednem słowem żyje jak ci wszyscy szarzy ludzie — ale czuje, że Bóg stworzył go z innego, lepszego prochu, z prochu wielkiego miasta. Uważa się za zdeklasowanego z tego jedynego powodu, że wyjechał z Metropolis. Jeszcze czuje pewną nadzieję, a nuż coś się poprawi, a nuż będzie mógł wrócić. Inaczej zmarnieje na wygnaniu.

Inteligent uważa się za demokratę. Cóż za mizerny demokratyzm. Dziś szlachcic ze wszystkiemi pałkami w herbie, pan na — uszczuplonym co prawda—majątku ojca i dziada nie zawaha się podać ręki sąsiadowi w siermiędze czy kożuchu z prostej chaty. Powiadamy: buta szlachecka. Nie mówimy jednak — buta inteligencka, mimo że inteligent, mój Boże! cóż ma wspólnego **z tymi poczciwcami** z prowincji. Przecież on jest inteligentem z miasta, no nie?

3.

A z tem wszystkiem „prowincji" również imponuje wielkie miasto. Inteligencja prowincjonalna chce, by na nią również spłynęła cząstka nimbu wielkiego świata. „Inteligent prowincjonalny" często również nie ufa „prowincji", uważając ją za zacofaną, od miasta spodziewając się wszystkiego. Cóż odeń otrzymuje? Bez wątpienia w pierwszym rzędzie cechy najbardziej zewnętrzne, to co rzuca się w oczy i co jest względnie najłatwiej przyswoić. Stroje, tańce, rozrywki. W dodatku to, co w mieście jest rzeczą naturalną, tu często jest pozą. Powoli na prowincję przenika „kultura"—prowincjusz staje się takim... no! — inteligentem z wielkiego miasta.

W ten sposób dochodzi rzeczywiście do tragicznego absurdu — przybysz uważa swych bliźnich z prowincji, dokąd go zły los rzucił, za ludzi drugiego stopnia, a oni usiłują gwałtownie dociągnąć się do stopnia pierwszego. To, co się nazywa: gatunek prima.

4.

Ten stosunek do prowincji jako do pierwotnej głuszy tłumaczy się tem, że inteligent i w wielkiem mieście za życie kulturalne uważa tych kilka sposobów publicznej zabawy, a inteligencję mierzy tylko elegancją ubrania i obyciem zewnętrznem. I pod tym względem prowincja istotnie nie może dorównać wielkiemu miastu. Jeśli jednak chodzi o głębsze życie kulturalne (nie mówię np. o pracy naukowej) — jest ono całkowicie możliwe do zorganizowania. Prowincja nawet, acz mniej kulturalnie wyrobiona, ma lepsze warunki **przeżywania wartości kultury,** jeśli potrafi tylko odczuć je i zrozumieć. Wielkomiejskie bowiem tempo, nerwowość, królestwo techniki wzmaga rozstrzelenie myśli, utrudnia skupienie, sprowadza powierzchowność przeżyć. Tych niebezpieczeństw prowincja nie zna. Ale ten kąt patrzenia jest zbyt górny dla inteligenta. Prowincja dlań — to tylko dzicz, a on marzy jedynie, że:

...Bajeczne żórawie na dzikim ostrowie
Nad zaklętem pustkowiem przelatując wiosną,
Słyszą inteligenta z miasta skargę głośną —
Każdy ptak mu choć jedno pióro rzuci,
On zrobi skrzydła i do swoich wróci...

— Do swoich! Ach, o tej porze w mieście zaczynają płonąć neonowe światła i asfalt szeleści... Kultura, kultura!

5.

A jakże rzadko taki „przez kryzys" rzucony w głusz inteligent myśli, co się odeń prowincji należy. Chodzi tu o t. zw. gromko pracę społeczną. Cóż za zdezuowane słowo — praca społeczna! Jakby jej było na prowincji mało. Przecie każdy nauczyciel ileżby na ten temat mógł powiedzieć. Niedawno wileńskie „Słowo" ogłosiło wśród nauczycielstwa szkół powszechnych konkurs na nowelę. Wyniki były ciekawe. Oto co pisze jeden z nagrodzonych:

„Robię teraz wszystko, co mi każą. Prawdę mówiąc, to wypełniam tylko arkusze sprawozdawcze. Jest ich dosyć. Zgrubsza możnaby je podzielić na dwa działy: z pracy szkolnej i z pracy pozaszkolnej.— Są tam pytania, jak np.: czy w szkole są chóry szkolne, pozaszkolne, czy są czytelnie, świetlice, kursy wieczorowe, koła młodzieży? Czy istnieje straż pożarna, Kasa Stefczyka, spółdzielnia, mleczarnia... i t. d... i t. d... Na zakończenie: jakie są jeszcze inne organizacje?..." I t. d... i t. d... Nauczyciel ma w tem wszystkiem siedzieć, to wszystko robić. Żeby była kultura. Tak ma być i basta!

Któż nie zna zresztą tych wszystkich akademij, obchodów o żelaznym repertuarze: przemówienie, chór, deklamacje, tych wszystkich organizacyj, żeby nie wytykać palcami, tej całej pracy społecznej, prowadzonej na baczność. Dziś modne jest hasło: precz z fikcjami, które zapanowały w Polsce, demoralizują społeczeństwo, robią pianę tam, gdzie brak nieraz chleba. Nie zbyt się wierzy w pracę społeczną na rozkaz, dla oka, bez względu na to, czy to będzie rozkaz władzy państwowej, czy kościelnej. Praca społeczna może mieć tylko jedno źródło: miłość. Inaczej jest fikcją. A może być również tragedją.

Inteligent z miasta nie szuka zbliżenia z pogardzaną ludnością prowincji, jest przecie z innego, lepszego świata. Są jednak poza nim ludzie, którzy tą „robotą" nie pogardzają, którzy ją prowadzą konsekwentnie i wytrwale — a jeśli hasła swe, ubrane nieraz w demagogiczne szaty, potrafią zaszczepić masom, możemy czekać tego, czego niedawno była świadkiem Hiszpanja.

6.

Któż będzie walczył z oświatą powszechną. Proszę się jednak przyjrzeć „prowincji" — kto tam jest wolnomyślicielem? Ależ ten właśnie, kto coś nie coś liznął wiedzy, co chce we własnych oczach i w oczach otoczenia uchodzić za oświeconego. Jakże takiemu imponuje wyrażanie się lekceważące o proboszczu, kpiny z tych, co chodzą do kościoła. A jednocześnie jakże chętnem nieraz uchem słucha taki już podpieczony **inteligent** (a jakże!), wszelakich haseł jaskrawych i pociągających — społecznych, kulturalnych, etycznych. Tacy to miejscowi inteligenci stanowią istotną elitę prowincji, skupiają dookoła siebie młodzież, wychowują społeczeństwo. Oświata, której liznęli, przewróciła im w głowie, oni przewracają w głowie otoczeniu, mając nad niem wpływ olbrzymi. Spotykamy takie typy na każdym kroku.

Grozi nam utrata całej „prowincji", a pamiętajmy, że „prowincja" jest czemś może bardziej ważkiem, niż wielkie miasto; że zapewne przyszłość Polski od tej pogardzanej prowincji będzie zależała. Grozi zaś nam to, co się stało we Francji, a co niezmiernie trudno jest odrobić: chrześcijaństwo zostało tam w dużej mierze wytrzebione, wierząca jest raczej część inteligencji niż masy. Z czasem zapewne elita pociągnie i masy za sobą, ale to długa droga i żmudna. Jeśli w Nr. 3 b. r. pisaliśmy o konieczności wytworzenia elity katolickiej, teraz wołamy o pracę nad utrzymaniem mas.

7.

I pracę tę może wykonać tylko ów inteligent z miasta, który winien być człowiekiem o szerszych horyzontach, mocnym kośćcu ideowym, i musi czuć swoją misję społeczną. Wtedy nie będzie się czuł zapędzony w głusz, gdzie dla jego zdolności, jego ambicyj, jego zamiłowań niema możliwości. Oto ma przed sobą olbrzymie pole działania — podniesienie, ukulturalnienie, uczłowieczenie tej pogardzanej

a niedocenianej „prowincji". „Prowincja" go przyjmie za kierownika, niechże tylko jego kierownictwo będzie czemś więcej, niż uczeniem pozy wielkiego świata.

Tylko — raz jeszcze — niech nie pojmuje pracy kulturalnej, jako opowiadanie bajeczek o Piaście i Rzepce; niech się nie upodabnia do tych lekarzy, którzy raz w rok lustrując swój rejon, wytną kępy włosów kilku dzieciakom, znalazłszy brudne głowy, (nie bacząc, że cała wieś jest jednaka), lub nakładają kary „za rzadkie zmienianie bielizny" — a nie dostrzegają tego prostego faktu, iż karani często **nie mają ani jednej koszuli**; niech taki inteligent pamięta, że drzewka w miasteczku i czysta jezdnia to jeszcze nie wszystko. Niech czującem sercem wsłuchuje się w tęsknoty, potrzeby, bóle prowincji — i stara się je zaspakajać i leczyć. Niech wskazuje tym ludziom lepszy świat i lepsze jutro i niech do tego jutra ich wiedzie, on, który więcej wie i więcej może — on, inteligent z miasta.

8.

Nie chcę, aby to, co powiedziałem, wyżej wyglądało na frazes. Zastanówmy się konkretnie: kto na „prowincję" jedzie? A więc: urzędnik, ksiądz, oficer, sędzia, nauczyciel, lekarz, aptekarz, adwokat, instruktor rolny, spółdzielczy i t. p. — to są główne kategorje inteligentów, jadących „w głusz". Nie generalizuję, zwłaszcza w stosunku do księży. Ale ci inteligenci zasklepiają się często w swem ciasnem kółku, w rozrywce i t. zw. pracy społecznej. Natomiast do autochtonów stosuje się inną miarę. Któż nie zna miny kmiotka czy „zwykłego" mieszkańca małego miasteczka, zgubionego w labiryncie formalistyki naszych urzędów, z którym nikt po ludzku nie pogada? Któż nie zna lekarza tak radzącego i leczącego, że nic nie rozumiejący biedaczyna zmyka do znachora? Nauczyciela gimnazjalnego, rozkładającego przed nieszczęsnym rodzicielem ręce w rozpaczy, że uczeń jest „pozbawiony inteligencji"? Nie będziemy litanji ciągnęli w nieskończoność. Ale pomiędzy owym inteligentem a prowincjuszem jakże często istnieje mur uprzedzeń, niezrozumienia, psychologicznej obcości, płynącej właśnie z tego poczuwania się za coś lepszego, za inny rodzaj człowieka. Ta współpraca przybyszów z prowincjonalnymi autochtonami **winna iść przedewszystkiem w płaszczyźnie pracy zawodowej**, a dopiero dalej w pracach organizacyj miejscowych i t. p. Ów przybyły bowiem inteligent często zgadza się łaskawie na prezesowanie w zarządzie takim czy innym i uważa swą funkcję społeczną za spełnioną. Często nawet ma cały czas zabity takiemi czy innemi zebraniami zarządów, grywaniem w teatrach amatorskich i t. p. Wszystko to jest bardzo piękne i pożyteczne, ale psychicznego kontaktu z ludnością niema, oddziaływania na nią prawie niema, dwa światy żyją obok siebie obco, jak odcięte nożem.

O ten kontakt i wpływ z niego płynący chodziło mi, gdy mówiłem o owem „wsłuchiwaniu się i leczeniu istotnych tęsknot, potrzeb i bólów". Jeśli „inteligent z miasta" potrafi w ten sposób ustosunkować się do swego nowego środowiska, dokąd go zły czy dobry los rzuci, wtedy głucha prowincja nabierze dlań blasku, wtedy inteligent przestanie być wygnańcem w głuszy, wtedy dokoła siebie ujrzy ludzi takich jak on — ten sam prima gatunek.

Czy więc nie trzeba odwrócić zagadnienia: nie prowincja jest pustkowiem dla inteligenta z miasta, lecz inteligent wnosi często pustkę w prowincję, która go wita, jak proroka.

ANDRZEJ PRONASZKO

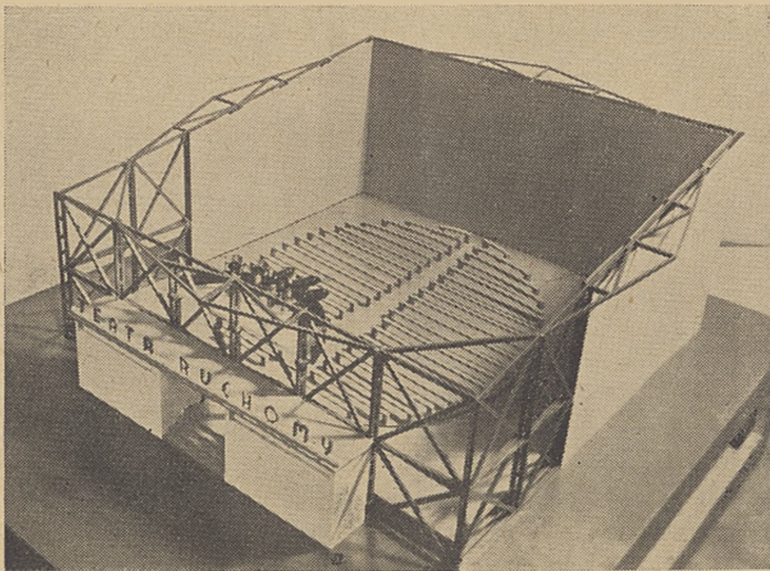
TEATR RUCHOMY

Ogólnie się przypuszcza, że zainteresowanie teatrem minęło, gdyż teatr stał się już instytucją przestarzałą i nie jest już w stanie spełniać tych zadań, jakie spełniał w ciągu ubiegłych wieków, zadań, między któremi szerzenie kultury wśród swoich, nie stoi na ostatniem miejscu. Powodu braku zainteresowań teatrem, powodu t. zw. kryzysu teatralnego należy szukać gdzieindziej. Po wielkiej wojnie społeczeństwa silnie się przegrupowały i zdemokratyzowały. Wyrosły inne potrzeby, istnieją i przebijają się coraz to nowe zagadnienia, których rozwiązania szukałby przeciętny obywatel w teatrze, ale cóż, kiedy teatr zagadnień tych nie obejmuje, nie zajmuje się niemi, nie roztrząsa ich. Teatr w Polsce, a nietylko zresztą w niej, stał się miejscem czysto rozrywkowem, a każda rozrywka ma tę przedziwną właściwość, że będąc dobrą dla człowieka we fraku, jest złą i nieodpowiednią dla człowieka bez butów. Wielkie idee natomiast potrafią być interesujące dla całości społeczeństwa, mają tę właściwość, że potrafią sklejać ze sobą ludzi, pochodzących nietylko z różnych warstw, lecz i z różnych narodowości i, nawet, różnych ras.

To też jeżeli teatr w Polsce takim się stanie, jeżeli będzie trybuną z której przemawiać będą interesujące wszystkich zagadnienia, stanie się tem samem, czem był za czasów Grecji, wielką szkołą polityczną i kulturalną, instytucją wychowawczą, będącą w stanie szybko wyrównać różnice poziomów kulturalnych, jakie dziś w tak ostry sposób zaznaczają się w naszem społeczeństwie i stanie się miejscem, od którego nikt nie będzie stronił.

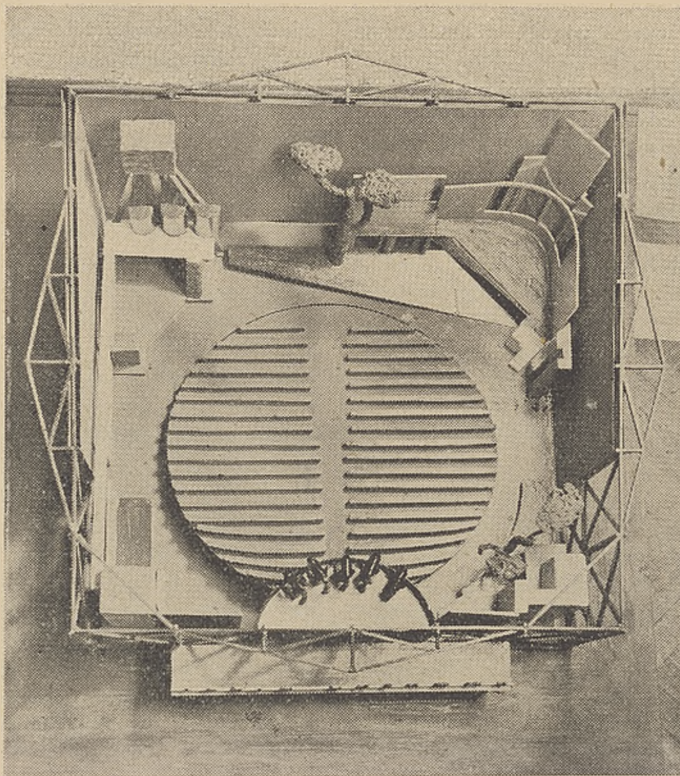
Drugim powodem t. zw. właśnie stronienia publiczności od teatru jest zubożenie społeczeństwa. Zubożenie to jest tak głębokie, że najbardziej interesująca treść przedstawienia, najbardziej doskonała jego forma nie będzie jeszcze mogła pretendować do stania się łożyskiem, przez które szerokim strumieniem wleje się do teatru publiczność. Bo publiczność dzisiejsza to nietylko mieszkańcy śródmieścia. Publicznością teatralną mogą się dziś stać przedewszystkiem mieszkańcy przedmieść, a następnie i mieszkańcy tych olbrzymich połaci kraju, które leżą daleko poza wielkiemi ośrodkami miejskiemi, mieszkańcy wsi i małych mieścin polskich. I jeżeli chce się na tę publiczność mieć jakiś wpływ, jeżeli ich się chce pozyskać dla siebie, jeżeli się chce te szerokie i straszliwie zaniedbane kulturalnie warstwy podnieść, to trzeba im w tem dopomóc, trzeba im wyjść naprzeciw. Teatr ruchomy jest tym teatrem, który może spełniać to zadanie, może wyruszyć na spotkanie swego widza, skoro ten widz nie ma możności finansowej przybycia do teatru.

Przestrzeń teatru ruchomego jest nierozerwalną jednością. Nie dzieli się ona, jak to spotykamy w teatrze pudełkowym, na dwie niezależne od siebie części, a stanowi jedną wielką całość, której w najmniejszym nawet stopniu nie rozrywa architektura widowni, sprowadzona tu do tarczy koła i ustawionych na nim rzędu ławek, mieszczących 360 osób. Widownię tę otacza ze wszystkich stron przestrzeń sceny odwrotnie niż w teatrach ministerjalnych 17 w. typu okrągłego, lub dzisiejszych cyrkach. Obracając widownią naokoło jej osi, gdyż w tym teatrze obraca się widownia, przesuwa się widzów z jednego terenu gry na drugi, lub idzie się w ślad za rozgrywającą się akcją, w ślad za aktorami, zmieniającymi teren gry na oczach usuwającej się za nimi publiczności. Na skutek otoczenia widowni sceną otrzymujemy dużą rozpiętość tej ostatniej, co daje swobodę w rozwinięciu gry w paru miejscach naraz, lub rozwinięcia akcji na wszystkich terenach gry jednocześnie i wtopienia w nią widowni. Kurtyny w teatrze ruchomym niema. Zastępuje ją ściemnianie lub rozjaśnianie terenów gry. Przedstawienie musi tu być traktowane jako jedna nieprzerwana całość, skomponowana jako pewna ilość scen, których jednak nie dzielą akty, pauzy i antrakty. Wskutek tego raz już zawiązany kontakt widowni ze sceną nie ulega przerwie, nie załamuje się, a osiąga swobodnie swoje kulminacyjne punkty. Wskutek też tego okazują się zbędne w tym teatrze kuluary, korytarze, palarnie, miejsca ich zostają oddane przestrzeni scenicznej, a przedstawienie sprowadzone do $1^{1}/_{2}$ godz. czasu



TEATR RUCHOMY

trwania może być dwa lub trzy razy powtórzone, powiększając pojemność widowni do przeszło 1000 osób. Przez przesunięcie tarczy widowni bliżej do wejścia zostaje osiągnięta różnica w głębokościach sceny, co się wyraża w możności operowania kontaktem. Sceny o charakterze bardziej kameralnym grane są bliżej widowni, sceny bardziej widowiskowe mają przestrzeń i oddalenie od widowni większą, bardziej przestronną.



Całą przestrzeń teatralną, całe wnętrze zamyka ciemno niebieskie płótno okrywające jednostajnie tak konstrukcję ścian gmachu, jak i jego sufity. Płótno to spełnia rolę horyzontu teatru pudełkowego i na jego tle ustawiane są tereny gry i dekoracje. Jakiegoż typu mają być te dekoracje przeznaczone dla wyjaśnienia szerokim warstwom społeczeństwa rozgrywającej się akcji? Kohan w swojej książce „Szkice o teatrze europejskim" mówi, że „poeci klasycyzmu stwarzali logiczne abstrakcje zamiast żywych ludzi. Czem bardziej abstrakcyjne to znaczy obojętne było miejsce ich działania, tem lepiej przylegało do akcji". Kohan cytuje jednocześnie Wiktora Hugo, który żąda, aby bohaterowie sceniczni nie byli doskonale skonstruowanemi teorjami idei bohaterstwa, obowiązku i t. d., lecz żeby byli żywymi ludźmi, posiadającymi te cnoty. Chce też aby działali oni w konkretnych miejscach, gdyż akcja dramatyczna musi harmonizować z epoką i miejscem. Wiktor Hugo daleki jest jednak od przyznawania miejsca w sztuce naturalizmowi. „Prawda i sztuka" mówi Hugo „to nie jest wierne odbicie rzeczywistości. Sztuka nie może dawać samej rzeczy w sobie". „Sztuka", mówi dalej, „to lustro, w którem odbija się przyroda. Tak, ale o ile to lustro będzie płaskie, to odbicie będzie wierne, ale pozbawione kontrastu, będzie mdłe". Dodajmy tu od siebie, że nawet wiernem nie będzie, gdyż zanim dla nas zaistnieje, musi przejść przedtem przez nasze oczy i przez nasz myślący mózg, to znaczy musi przejść przez szereg miejsc załamujących jej odbicie. To też ciemno niebieskie płótno zastępujące blado niebieski horyzont teatru pudełkowego stawia sprawę stylu dekoracyjnego dosyć jasno. Służąc celom rozmaitym, będąc tłem dla rozmaitych terenów akcji i dekoracji, przeciwstawia się zdecydowanie naturalizmowi, jak i idącym z nim w parze rozmaitym złudom, iluzjom i imitacjom. Daje jednak pełną możność stosowania realizmu i stwarzania pełnych sugestyj miejsc jakie potrzeba jest wyrazić. Można tu i trzeba budować solidne wnętrza, bryły domów, drzewa, tereny, ale trzeba im jednocześnie odjąć charakter przypadku, cechę nieodłączną naturalizmu, a dać im pierwiastek pewnego uogólnienia, co wcale nie znaczy schematu. Nie można każdego fragmentu komponować osobno, lecz trzeba komponując je uzależniać ściśle od siebie i od całości przestrzeni teatralnej.

Konstrukcja teatru ruchomego sprowadza się do żelaznych, łatwo rozbieralnych elementów ścian, wiązarów sufitowych i podłogi, składającej się z osobnych, wiązanych później ze sobą części. Całość od zewnątrz okrywa płótno brezentowe, które łącznie z płótnem okrywającem gmach od wewnątrz daje pełne zabezpieczenie od deszczu i wiatrów. Ogrzewanie, przy zastosowaniu gmachu do objazdów zimowych, stanowią małe piecyki elektryczne umieszczone pod amfiteatralnie spadającą podłogą widowni, co przy uszczelnieniu gmachu stwarza wystarczającą gwarancję jego ciepła. Prof. inż. Bryła, który opracowuje konstrukcję gmachu, oblicza, że lekkość tej konstrukcji daje możność przewiezienia całego budynku zapomocą 4 aut ciężarowych z doczepkami, a postawienie gmachu na nowem jego miejscu pobytu nie powinno przekroczyć 8 godzinnego dnia roboczego. Koszta budowy teatru ruchomego nie przekraczają 25.000 zł. Jeżeliby, wskutek tak niskiej ceny umożliwiającej budowę, dało się stworzyć 10 lub 15 takich teatrów, możnaby było okryć gęstą siecią teatralną całą Polskę, jak jest ona długa i szeroka, i dać w każdej ogarniętej siecią miejscowości kilka teatrów rocznie, kilka inscenizacyj i kilkadziesiąt dobrych przedstawień. Możnaby za pomocą tego teatru dotrzeć do najbardziej oddalonych, najbardziej kulturalnie zaniedbanych mas naszego społeczeństwa, do najbardziej nam dziś dalekich i niedostępnych jego elementów.

Teatr ruchomy jest w stanie spełnić dziś misję oddania sztuki, służącej obecnie nielicznym kołom uprzywilejowanych finansowo kół śródmieścia, całemu narodowi i, mając ten cel przed sobą, staje przed społeczeństwem, zgłaszając swe usługi.

Warszawa, luty 1935 r.

PIÓREM I SZYDŁEM

Co? Numer specjalny, poświęcony prowincji? Wyobrażam sobie, co to będzie: ach, jaka to śliczna rzecz ta prowi cja..! jaka biedna ta prowincja..! jak ciekawa ta prowincja..! jaki folklor, jaka bezpośredniość, jakie fiu - fiu - fiu! Ja mam wedle planu redakcyjnego napisać artykuł **o architekturze na prowincji**. Niech sobie będzie. A więc ja na architekturę prowincji patrzę tak:

Architektura prowincji odznacza się pewną swoistością. Nie chodzi mi o to, że domki są krzywe, albo, że w dachu są dziury, albo jeszcze coś w tym stylu. Chodzi mi o rzeczy znacznie bardziej istotne. Są to zagadnienia tak skomplikowane, że najsławniejszy architekt współczesny, projektujący wielkie bloki z lotniskami na dachach, nie śni nawet, jak kolosalne trudności czekałyby go w budownictwie prowincjonalnem. Chodzi tam bowiem **o punkt obserwacyjny**, czyli o takie miejsce, które w każdym domu znajdować się musi, a z którego można spoglądać przez różne okna w różne strony. Miejsce to zamienia mieszkańcom prowincji teatr, radjo, książkę, gazetę—stąd bowiem widać cały świat. Widać jest stąd mieszkanie pana doktora, główny deptak, jest mała szparka na Aleję pod Lipami, gdzie spacerują wszystkie czułe pary, stąd można podpatrzyć tysiąc innych spraw, zagadnień, stąd widzisz sumienia twych bliźnich, widzisz kto z kim chodzi, rozmawia, kto kogo unika, do kogo przyniósł list pocztyljon, kto zaszedł do apteki, która z którym spotkała się na rogu i rozmawiała przez pięć minut, kto niesie do domu butelkę czystej, na kogo spisano protokół, gdzie się zbierają bridżyści, kto nie był na nieszporach, kto przyjechał pociągiem południowym i z jakiemi zamiarami, jaki wyraz twarzy ma pani starościna, gdy spotyka panią kapitanową, i co zrobiła wówczas suczka pani kapitanowej i gdzie jest wtedy jej mąż i gdzie niema jej męża i gdzie mógłby być jej mąż i wiele wiele innych równie ważkich spraw. Gdy się ma wygodny punkt obserwacyjny, czy można znaleźć czas na inne zajęcia? Ten punkt, odpowiedni, wszystko widzący punkt obserwacyjny — przecież to jest cały wysiłek architektów miasteczkowych.

Prowincjo polska! — jakże mi imponujesz. Jak bardzo, jak zupełnie, jak z nadwyżką wystarczasz sama sobie — jak genjalnie zużywasz cały czas na spoglądanie wokół siebie z oburzeniem, zgorszeniem, lekceważeniem! Prowincjo polska! — jak doskonale, jak smakowicie smażysz się we własnym sosie, jeśli wolno użyć kulinarnego porównania. Schylam przed tobą czoła, Prowincjo polska i wiem, że w tej chwili przyglądasz mi się z każdego okna — z oburzeniem, zgorszeniem, lekceważeniem. Wiem i truchleję i podziwiam twój specjalny instynkt w sprawach, dotyczących twych bliźnich, i twój specjalny styl architektoniczno-podglądowy!

Turek

OCZYMA PISARZY

TĘTNO ŚLĄSKIEGO MIASTECZKA

Książka *Gojawiczyńskiej* **Ziemia Elżbiety** *) nie jest właściwie ściśle typem powieści regjonalnej, jakkolwiek stara się—zwłaszcza przy końcu — odtworzyć życie ośrodka hutniczego na Śląsku. Ognisko kompozycyjne powieści — to postać Elżbiety, której życie, przeniesione z Podlasia na Śląsk, rozwija się zupełnie niezależnie od tła, przechodzi normalne fazy dzieciństwa z dojrzałości. Przez cały czas trwa jakby rozbieżność, niezależność, obu motywów: Elżbiety i Śląska hutniczego. Związek jest tylko zewnętrzny, topograficzny. W miasteczko i jego drobne sprawy wglądamy za pośrednictwem Agnieszki, która, chociaż „obska", bierze żywy udział we wszystkich interesach miasteczka, w życiu organizacyjnem, niesie pomoc potrzebującym. Losy rodziny Ligęzów układają się całkiem inaczej, niż przeciętnych ubogich ludzi jej środowiska: rodzina Ligęzów wzbogaca się i wznosi na dość nieokreślony zresztą szczebel społecznej drabiny. Zupełnie równoległe rodziny górników ubożeją, zbliża się widmo głodu, zupełnie obce Ligęzom. Tylko los Elżbiety zbiega się z losem dziewcząt śląskich, „dziołek nieszczęsnych": jest uwiedziona i porzucona. Tym jedynym węzłem wiąże się jej życie z życiem ludu; kompozycyjnie węzeł ten wydaje mi się za słaby.

W ostatniej części książki samodzielnym, niezależnym przedmiotem opracowania staje się życie ludu—górników. Oto zbliżyła się nieuchronna nędza, zapowiadana już pojawieniem się „świętówek", a potem stanięciem kopalni. I wtedy niema żadnego ratunku: bezsilna jest wszelka filantropja i pomoc indywidualna, humorystycznie na tle tej nędzy, rzeczywistej nędzy materjalnej, wyglądają zabiegi o kulturalne rozrywki ludu: „zabrzmi radjo w świetlicy i między jedną a drugą piosenką modną a miauczącą opowiedzą ci rzecz o tobie samym—o tobie, Franku, Gustliku, Alojzie. Naśladując twoją wymowę i twoje obyczaje... twój „przyjaciel radjowy" ukaże się w grubej dykteryjce „zdrowo i jędrnie", aż wybuchasz gromkim śmiechem, zanim się spostrzeżesz, ...że zrobili z ciebie głuptasa, bulę, durnia i filuta"... (str. 292).

*) Warszawa. 1934.

Powyższy cytat bodajże najtrafniej charakteryzuje płytkie, powierzchowne ujęcie regjonalizmu wśród szerszych warstw t. zw. inteligencji.

Nagle z zamknięciem kopalni, lud Śląski stoi wobec tej milczącej potęgi, której powolnego rozrostu dotąd nie zauważył: wielkiego kapitału, zorganizowanego w koncern przemysłowy, obejmujący poszczególne kopalnie. „Wspólnota interesów" kapitalistycznych obala wszelką inicjatywę prywatną, nie pozwala uczciwemu entuzjaście prowadzić kopalni bez „świętówek" i na dawnych warunkach płatniczych. Dyrektor kopalni „Witek" musi się ugiąć i wprowadzić redukcje, opóźnianie wypłat, „świętówki".

Równocześnie dochodzi już dalekie echo komunistycznych ruchów w stolicy. Niema to istotnego związku z życiem ludu: bardzo silnie podkreśla autorka tę odległość. Młodzież uniwersytecka stolicy bawi się teoretycznemi dyskusjami, redaguje ulotki, za które trafia w ręce policji. Tak np. komunizuje się syn dyrektora Hellerta, elegancki młodzieniec, realizujący swoją miłość do ludu — uwodzeniem „dziołek" fabrycznych.

Bezrobotnym górnikom pozostaje tylko jedno wyjście: mimowoli oczy zwracają się w stronę granicy niemieckiej. Wreszcie rozpacz popycha ich do tej ostateczności i przekraczają granicę. Powieść kończy się dramatycznym akcentem, sygnałem ostrzegawczym.

Wiedziona trafnym instynktem artystycznym ustrzegła się autorka grubego „regjonalizowania": regjonalny charakter powieści podkreśla specyficzność interesów (kopalnie) oraz namiastka gwary śląskiej, zresztą dosyć dyskretnie wprowadzona a zabarwiająca cały styl powieści. Wykazała także autorka dużą dojrzałość i sprawiedliwość w traktowaniu tak drażliwych spraw jak komunizm i kapitalizm. Sympatje autorki wyraźnie stoją po stronie ludu przeciw kapitalizmowi, ale równocześnie umie autorka po jednej i drugiej stronie ocenić rzetelność i uczciwość. Każe dostrzec w oczach komunistki i dyrektora kopalni ten sam gorący błysk rzetelnego umiłowania ludu.

Powieść pomimo pewnych wad kompozycyjnych, zaznaczonych na wstępie, stoi na bardzo wysokim poziomie artystycznym.

Irena Sławińska

NA WSCHODNICH KRAŃCACH RZECZYPOSPOLITEJ

Temat dwu powieści *Dobaczewskiej i Łopalewskiego* ściśle związany jest z życiem t. zw. prowincji. Akcja **Zwycięstwa Józefa Żołądzia** odbywa się gdzieś w pobliżu północno-wschodnich granic Rzeczypospolitej, a **Prowincjusze** roztaczają przed namiszeroki obraz stosunków w Zawadowie, niewielkiem miasteczku „na pograniczu Litwy i Kongresówki". Między obu temi utworami więcej jednak zachodzi różnic niż podobieństw. Zasadnicza różnica tkwi bodaj w stosunku autorów do stwarzanej przez nich rzeczywistości.

Świat, oglądany poprzez szkła entuzjazmu i współczucia.

U Dobaczewskiej stosunek do opisywanych osób i zdarzeń nie jest jednolity, naogół autorka stara się zachować objektywną postawę, nieraz jednak nie potrafi powstrzymać się od zaznaczenia — choćby bardzo dyskretnie — swego współczucia, czy też aprobaty lub zachwytu wobec postępków niektórych ze swych postaci. Ów objektywizm autorki najpełniej wyraził się przy odtwarzaniu sfery ziemiańskiej. Przedstawicieli jej poznajemy bądźto na święconem u p. prezesa Wołłowicza podczas sąsiedzkiej rozmowy na temat podatków, licytacyj, cen zboża i t. p. zagadnień, bądź też za urzędowemi stolikami starostwa jako zubożałych obywateli, coraz liczniej przeradzających się w prowincjonalnych urzędników, traktujących egzystencję swą w małem powiatowem miasteczku jako smutną konieczność, lub niesprawiedliwy dopust Boży.

Ale warstwa ziemiańska występuje w książce Dobaczewskiej tylko w roli ubocznej, najczęściej jako tło sprawy, wokół której grupują się niemal wszystkie wątki powieści. Sprawę tą stanowi starcie dwóch prądów, nurtujących wśród mieszkańców wsi „kresowej": państwowo-twórczej ideologji Straży Granicznej, reprezentowanej przedewszystkiem przez Komendanta jej Józefa Żołądzia i komunizmu, umiejętnie rozdmuchanego przez sprytnego włóczęgę, Adaśka Korolonka. I tu również zasadą, którą kierowała się autorka w odtwarzaniu obu kierunków, był bezstronny objektywizm, niemniej jednak w przedstawieniu niektórych szczegółów, sytuacyj i postaci utworu stara się zasugestjonować czytelnikowi entuzjazm i zachwyt wobec działalności Straży Granicznej. Owe oczy strażaków z miłością i zaufaniem utkwione w Żołądziu, o czem autorka nie zaniedba wspomnieć niemal podczas każdej zbiórki i rozmowy jego z podwładnymi, to zachowanie się Michała Kunickiego, który w chwili najwyższej „pasji" na swego komendanta, przypomniawszy sobie jego rozkaz, „...przyjął należną postawę, odrzucił daleko swój ból" i mimo że „chwilami jęczał na głos z bólu... szedł ciągle naprzód, bo taki miał rozkaz" (314 — 315) i cały szereg innych scen, zakończonych wreszcie ostatecznym triumfem czynu Strażaków, rozgramiających doszczętnie komunistyczną bandę Korolonka na tle bezradności władz policyjnych — stwarza atmosferę moralnej i fizycznej przewagi Straży. To zbyt wyraźne podkreślanie duchowych wartości strażaków i nieco za częste wykazywanie szlachetnych motywów ich postępowania wprowadza do powieści p. Dobaczewskiej pierwiastek pewnego dydaktyzmu.

Mimo tej atmosfery szczególnego uprzywilejowania Strażaków piękniej, „poetyczniej" i bardziej wzruszająco przedstawiają się w powieści postacie wiejskich komunistów. Tragizm beznadziejnej rozpaczy Dymitra Pawluka, żegnającego swą młodą żonę w otoczeniu dwóch „surowo wyprostowanych" policjantów, nieukojone mściwe poczucie niezasłużonej krzywdy, nurtujące naiwną duszę opuszczonej Ulki, jej daremne uporczywe kołatanie do zamkniętych wrót więziennych—opromieniają grupę komunistycznych wieśniaków blaskiem cichej rezygnacji i milczącego poświęcenia, budząc u czytelników serdeczne współczucie. Efekt artystyczny, osiągnięty w ten sposób przez autorkę, znakomicie

W. Dobaczewska: **Zwycięstwo Józefa Żołądzia**. Księg. Wyd J. Zawadzkiego w Wilnie str. 349 i *T. Łopalewski*: **Prowincjusze**. Warszawa 1934. Tow. Wyd. „Rój" — str. 271.

pogłębia tragizm poszczególnych scen książki, ale dość niekonsekwentnie i nieprzekonywująco skupia wszelkie ciemne światła jedynie na postaci Adaśka Korolonka, oraz — wobec braku scen o odpowiedniej sile uczucia w opisach, dotyczących tytułowej postaci książki — dość szkodliwie narusza kompozycyjną równowagę utworu.

Miasteczko w krzywem żwierciadle satyry

Zupełnie inny charakter posiada książka T. Łopalewskiego. W całym niemal utworze, począwszy od tytułu aż do ostatniej sceny, w której pijany urzędniczyna Dumko z wieńcem na szyi woła: „Laury, laury... dla szarego człowieka z prowincji" (271) dominuje nastrój satyry, czasem nawet z dość wyraźną intencją ironji. Wywołuje to pewien dystans między autorem i jego postaciami, pozwalający mu na spokojną obserwację życia w Zawadowie, traktowanego z dużą dozą humoru i poczucia własnej wyższości. Satyra ta bowiem nie kryje w sobie bynajmniej akcentów oburzenia, gniewu, lub nienawiści — wręcz odwrotnie: autor spogląda na stworzony przez się świat pobłażliwemi oczyma, chociaż spostrzega każdą najdrobniejszą śmiesznostkę i niejednokrotnie nie zaniedba rozdmuchać jej aż do karykaturalnych rozmiarów. Karykaturą bowiem są takie wizerunki obywateli Zawadowa, jak wyżej wspomniany Dumko, czy też wyśmiewany przez wszystkich jąkała, Żmonda. Przed satyryczną werwą autora nie skryje się żaden rodowity mieszkaniec Zawadowa z jednym może wyjątkiem Ewy Rojstówny, w której skupił autor wszystkie jasne, dodatnie cechy niewieściego wdzięku. Zato w sylwetkach pozostałych przedstawicielek płci pięknej Zawadowa nie szczędził autor ciemnych barw satyry. Nie bez znaczenia jest również stosunek, z jakim odnosi się autor do męskich postaci powieści: im bardziej wątłe nici łączą daną postać z życiem i stosunkami Zawadowa, tem mniejsza doza satyry występuje w jej wizerunku. Tak np. satyryczne wycieczki autora niemal całkowicie unikają red. Florysia. I nic dziwnego: wszak przybył tu niedawno i — jak sam powiada — nie zdołał jeszcze „zapuścić korzeni". Rysów satyrycznych poskąpił też autor głównej postaci utworu, Andrzejowi Kamalskiemu. Wprawdzie jest to rodowity obywatel Zawadowa, ale podczas akcji powieści występuje jako „homo novus" po powrocie z dłuższego pobytu w Paryżu, który zdołał w nim zatrzeć piętno małomiasteczkowego inteligenta. To też nic dziwnego, że niezbyt dobrze czuje się w atmosferze rodzinnego miasteczka, marzy o wydobyciu się na szersze wody („może przy następnych wyborach zostanie posłem?" 269) i wkrótce zapewne śladem Florysia opuści Zawadów na zawsze.

Jest jeszcze jedna postać, wyróżniająca się zpośród obywateli miasteczka, a mianowicie dr. Tokarski. Przybył tu dość dawno i zdążył już zżyć się nieco z zawadowskiemi stosunkami. Toteż napozór nie różni się niczem od otoczenia. Tak jak inni przesiaduje w kawiarni i tak jak inni zadaje niezbyt rozsądne pytania podczas kawiarnianej rozmowy z majorem Paniemójem (str. 9). A jednak „Tokarski miał opinję dziwaka, 'który często naraża się ludziom, poruszając rzeczy drażliwe, osłaniane przez ogół milczeniem" (138) i on to właśnie wystąpi na zebraniu Komitetu uczczenia pamięci Malczewskiego z niefortunnym wnioskiem wybudowania ochrony zamiast niepotrzebnego nikomu pomnika. On jeden może zpośród całego społeczeństwa Zawadowa pojmuje swą pracę na terenie małego miasteczka nie jako smutną konieczność, ale jako szczytną, doniosłą misję, jako realizację szlachetnych marzeń swej młodości.

Wspólną cechą niemal wszystkich obywateli Zawadowa, nawet takich jak starsi pp. Kamalscy, jest jakiś snobistyczny kult wielkiego miasta. Andrzej powracający z Paryża, jest przedmiotem powszechnego podziwu, rodzice podświadomie nieraz marzą o karjerze dzieci przedewszystkiem w ramach wielkomiejskich stosunków, a u podstawy każdego niemal przedsięwzięcia społecznego, czy to będzie bal, czy też poświęcenie pomnika, zawsze tkwi pragnienie dorównania wielkim stołecznym miastom.

Satyryczne ustosunkowanie się autora do stwarzanej rzeczywistości niezbyt sprzyja wydobyciu całej głębi tragizmu, kryjącego się w takich choćby postaciach utworu jak Rojst lub Tokarski, niemniej jednak skutecznie chroni autora przed łzawem roztkliwianiem się nad smutną dolą „szarego człowieka z prowincji" (vide Jalu Kurek).

„Uczciwość" społecznego działacza

Powieść Dobaczewskiej różni się od książki Łopalewskiego i tem jeszcze, że nie ogranicza się do mniej lub bardziej objektywnego przedstawienia życia prowincji, ale porusza również pewne zasadnicze problemy, ściśle zespolone z rozwojem społecznych organizacyj na „Kresach". Bogactwem żywych zagadnień, postawionych odważnie i ze świadomością trudności, jakie nastręcza ich rozwiązanie, podobne jest „Zwycięstwo Józefa Żołądzia" do niektórych realistycznych powieści współczesnej literatury sowieckiej. Naczelnem bodaj zagadnieniem utworu jest problem społecznego działacza na wsi, kwestja, czy odpowiednim kierownikiem organizacji społecznej jest energiczny i przedsiębiorczy młodzieniec, taki jak Żołądź, który mimo wszystkich swych zalet niezbyt skrupulatnie zarządza funduszami organizacji i nie waha się wyasygnować sobie wcale pokaźną sumę na „reprezentacyjną" pijatykę z Żoziem i jego towarzyszami.

Z zakończenia utworu wynikałoby, że autorka pragnęła zasugestjonować czytelnikowi pozytywne rozstrzygnięcie tego zagadnienia. Jedynie do końca Wołłowicz pozostaje przy swem zdaniu, iż „żadne talenta nie zrównoważą najmniejszej choćby skazy na uczciwości" (345). Owa niechęć p. Wołłowicza do komendanta Żołądzia jest tem bardziej umotywowana, że grzeszy on nietylko przeciw sumienności pieniężnej. Żołądź ani trochę nie krępuje się zasadami etyki. I nie pochodzenie lub brak towarzyskiego wychowania, ale ów całkowity brak podstawowych zasad etycznych w postępowaniu Żołądzia sprawia wrażenie tej dziwnej „obcości", którą nadaremnie usiłował wytłumaczyć sobie p. Wołłowicz po rozmowie z córką o komendancie (str. 36). A najbardziej odrażające jest w Żołądziu nie to, że świadomie i celowo uwodzi biedną Kazię Sorokównę, ale to, że nie odczuwa przytem najmniejszych wyrzutów sumienia, że nie dostrzega i nie wstydzi się całej nędzy moralnej swego postępku. To też po tem wszystkiem wcale już nie dziwimy się, gdy w końcu powieści Żołądź nie ostrzeże mieszkańców Lipni przed napaścią bandytów i celowo opóźnia swą pomoc, aby w lepszem świetle okazać się oczom Wołłowicza i Starosty. To, że tamci mogli to przypłacić życiem, niewiele go wzrusza.

Kompozycyjne mielizny i rewjowe zapożyczenia

Żołądź jako centralna postać powieści jest też głównym węzłem, spajającym w całość poszczególne wątki opowiadania. Budowa powieści Dobaczewskiej jest zresztą jasna i prosta, nieraz aż zbyt prymitywna i w szczegółach rażąca niefrasobliwą łatwością w pokonywaniu nasuwających się trudności. Osoby zjawiają się na scenie niekiedy zupełnie bez umotywowania, właśnie wtedy, gdy potrzebne są autorce. „Gorące pragnienie ma czasem moc przyciągającą" — powiada autorka — i oto Żołądź staje natychmiast przed stęsknioną za nim Kazią (s. 139). Podobnie staje się, gdy Zonia zapragnęła zobaczyć Kazię. „Takie pragnienia zawsze się spełniają" i „Kazia wyszła do wrót właśnie w chwili, gdy Zonia te wrota mijała" (s. 258). Podobnie jest z łączeniem ze sobą poszczególnych scen powieści. Tak np. bezpośrednio po opowiadaniu o smutnym powrocie Kazi z miasta przenosi się akcja utworu do Lipni, zapomocą krótkiego stwierdzenia: „I zdarzyło się tego samego wieczora, że Żozio Stągowicki przyjechał z wizytą do Lipni" (253). Gorzej jeszcze jest z tem, że autorka zamyka oczy na niedogodne jej konsekwencje niektórych zdarzeń, jak to jest np. z wyprawą Filipa do Starosty. Czyżby Korolonek naprawdę nie domyślił się celu tej wyprawy zwłaszcza po rozmowie, jaką miał z Filipem bezpośrednio przed opuszczeniem przezeń leśnego obozu? A jeśli tak, to czemu nie zaniechał napadu na Lipnie?

Bardziej przemyślaną i konsekwentną kompozycję posiadają *Prowincjusze* Łopalewskiego. Osią, wokół której obraca się całe opowiadanie są sprawy Andrzeja Kamalskiego. Dokoła tej postaci grupują się wszystkie inne wątki utworu, wiążąc się z nią mniej lub bardziej ściśle. Nie wynika stąd jednak, że przedmiotem opowiadania są dzieje Kamalskiego, różnorodność bowiem, oraz wielka ilość innych wątków utworu składa się na szeroko zakrojony obraz małomiasteczkowych stosunków. I z tego względu jednakowo ważne są tu dzieje miłości Marysia, jak też historje licznych zaręczyn Krystyny, — sprawa pomnika Malczewskiego, jak też drobne kłopoty sekretarza Dumki, — pojedynek Żmondy, jak też miłosne tęsknoty d-ra Tokarskiego i t. p. Książka kończy się nieco „rewjowym" chwytem zebrania razem wszystkich aktorów powieści, wpierw na maskaradzie, a potem z okazji poświęcenia pomnika, gdzie autor o każdej prawie postaci nie zapomni dorzucić choćby słów kilka.

* * *

Życie „prowincjuszy", obywateli małych powiatowych miasteczek, niezbyt nęcąco wypadło w obu omówionych powyżej powieściach. Chwile, spędzane nad opróżnioną butelczyną czy to w restauracji u Jojny Rotmana, czy też w gabinetowem zaciszu u zawadowskiego Walfisza stanowią jedyną bodaj pociechę nietylko Rojsta, Dumki, czy p. Cegiełkiewicza, ale każdego niemal „szarego człowieka z prowincji". Na tem zaczynają się i kończą wszystkie ich tęsknoty i marzenia, tak, jakby ów świat Zawadowa nie posiadał ani jednego uroku życia „normalnych" ludzi, tak jakby w nim nigdy nie świeciło słońce, a wiosna nie otwierała ludziom serca.

Czesław Zgorzelski

PAWEŁ ŁEBCZ

DYKTATURA WARSZAWY

W chwili obecnej walczą w życiu gospodarczem Polski dwa prądy: centralistyczny, skupiający ster życia gospodarczego w pewnem centrum, i odwrotny — decentralistyczny, rozkładający pracę kierowniczą na mniejsze ośrodki prowincjonalne, które mają regulować sprawy ziem do nich ciążących we własnym zakresie. Oba prądy mają swe strony dodatnie i ujemne — nie mamy zamiaru w tej chwili spraw tych rozstrzygać. Podobnie się dzieje zresztą w życiu kulturalnem — Warszawa rywalizuje z mniejszemi ośrodkami o każdą bardziej utalentowaną jednostkę, pismo i t. p. (np. ostatnie „przenosiny“ „Czasu“ są rzeczą bardzo charakterystyczną) — z drugiej zaś strony stara się narzucić ośrodkom mniejszym swoje kulturalne przewodnictwo. W artykule niniejszym chcemy podać parę wytycznych, któreby nas choć częściowo zorjentowały we wzajemnych stosunkach stolicy i reszty kraju w obu wyżej zaznaczonych zakresach.

Dyktatura gospodarcza

Poniżej podamy dane repartycji kredytów pomiędzy stolicą a resztą kraju w roku 1933. Wiadomo, czem jest kredyt dla życia gospodarczego — ilość udzielanego kredytu w tej czy innej branży rzuca światło na jej strukturę, na jej tendencje rozwojowe etc. etc. Dlatego też poniższe dane zamienić mogą liczne zestawienia statystyczne, nużące dla niefachowca; obejmują one wszystkie banki państwowe i 98% banków prywatnych, pozwalają więc uchwycić rolę, jaką w życiu gospodarczem Polski odgrywa Warszawa, aczkolwiek nie wszystkie oczywiście kredyty udzielane na jej terenie wsiąkają w tenże teren: dość wskazać np. na zarządy wielu karteli, które się mieszczą w stolicy i tam swoje operacje przeprowadzają. Oczywiście bowiem jakakolwiek statystyka, dotycząca rozprowadzenia uzyskanego kredytu w danym określonym terenie, jest wprost niemożliwa. Dane więc te, których symptomatyczność musi być wzięta z pewną poprawką, które mimo to jednak nie przestają być symptomatyczne, zestawiają się jak poniżej:

Kredyty w tys. złotych, uzyskane w roku 1933

1. W Banku Gospodarstwa Krajowego — wszelkie kredyty:
Ogółem w Polsce — **977,480**, z tego w m. Warszawie — **687,987** (z tej ostatniej sumy na instytucje publiczne, przedsiębiorstwa państwowe, zw. komunalne, urzędy — **360,157**).

2. W Banku Gospodarstwa Krajowego — kredyty krótkoterminowe:
Ogółem w Polsce — **264,451**, z tego w Warszawie — **149,665** (dla instytucyj publicznych — **100,294**).

3. W Banku Rolnym:
Ogółem w Polsce — **1,025,323**, z tego w Warszawie — **361,199**.

4. W Bankach prywatnych:
Ogółem w Polsce — **913,019**, z tego w Warszawie — **328,080**.

Najbardziej znamienne oczywiście są tutaj dane, dotyczące banków prywatnych, jeśli bowiem chodzi o dane dwu wielkich banków państwowych są one nieco spaczone w swej symptomatyczności przez to, że finansują również instytucje państwowe, które — wobec centralizmu administracji, w przeważnej mierze znajdują się w stolicy. Ale nawet, gdy od ogólnej ilości kredytów, udzielanych przez banki państwowe, odejmiemy kwoty, przeznaczone dla instytucyj publicznych, w swych głównych zarysach obraz pozostanie analogiczny do obrazu, który przedstawiają banki prywatne.

Jak więc widzieliśmy, prawie 1/3 operacyj kredytowych w bankach odbywa się w stolicy. Pod względem objętości udzielonego kredytu (a wagę tego zagadnienia podkreśliliśmy wyżej) stolica poprostu przytłacza pozostałe okręgi kraju. Z poprawką wyżej zaznaczoną pozwala to wnioskować o potężnej koncentracji pewnych przynajmniej przejawów życia gospodarczego w stolicy.

Dyktatura kulturalna

Szukajmy dla życia kulturalnego równie charakterystycznego wskaźnika, jakim jest wskaźnik udzielanych kredytów — dla życia gospodarczego. Za taki wskaźnik może służyć ilość druków, wydawanych w m. Warszawie i w całej Polsce. Nie mamy lepszych symptomatów tętna **czynnego** życia kulturalnego, którebу się dały uchwycić w liczby, jak dane o ruchu wydawniczym. Dane te wyglądają jak następuje:

Z **10,086** druków nieperjodycznych o nakładzie ogólnym **32,034** tys. egz. zostało w r. 1933 wydanych w m. Warszawie — **4,816** o nakładzie **16,067,800** egz.

Z ogólnej ilości czasopism, wydawanych w kraju (według rejestru z dn. 31.XII.1933), wynoszącej **1855** wydawano w Warszawie **666.**

Cyfry te mówią same za siebie: prawie połowa wszystkich druków nieperjodycznych Polski wydaje się w Warszawie (gdybyśmy wzięli dane liczbowe, dotyczące ilości druków wydrukowanych w Warszawie, stosunek powyższy jeszcze bardziej zwiększyłby się na korzyść Warszawy).

Z czasopismami jest nieco inaczej: ilość czasopism, wydawanych w Warszawie, jest mniejsza niż połowa czasopism, wydawanych w reszcie kraju.

Weźmy jeszcze cyfry dotyczące nut, map i rycin (r. 1933), potwierdzające poprzednie spostrzeżenia:

Ogółem wydano	nut	map	rycin
w kraju	**304**	**26**	**12**
w Warszawie	**266**	**14**	**10**

Widzimy więc, że rola stolicy w kwestjach kulturalnych jest równie przeważająca, jak w gospodarczych.

Wnioski

Wskaźniki powyższe scharakteryzowały nam kolosalną przewagę Warszawy, przewagę, którą nie każdy uświadamia sobie całkiem jasno. Warszawa, dzięki swym olbrzymim wpływom gospodarczym i kulturalnym, w dużej mierze może kształtować życie całego kraju wedle własnych chęci i dążeń. W wielu wypadkach może to być twórcze i budujące. Tem niemniej reszta Polski — tej dyktatury stolicy nie powinna lekceważyć. Trzeba się zdobyć wobec niej na czynną postawę, która się winna przejawiać w dokładnem uświadomieniu swych istotnych potrzeb (które stolica jakże często wyobraża sobie najmylniej), formułowaniu swych żądań i przeprowadzeniu ich choćby wbrew centralistycznym interesom Warszawy (jeśli nie są one interesami całego kraju), wreszcie na kultywowaniu tych wszystkich stron życia prowincjonalnego, które są istotnie twórcze i godne pielęgnowania.

W najbliższych numerach PAX-u będziemy drukowali m. in. artykuły Marjana Zdziechowskiego, Bogumiła Jasinowskiego, Stanisława Szpinalskiego, Marji Winowskiej, Anatola Mirowicza i in. — W numerze ostatnim m. in. Jan Rutski — W kraju tymczasowego komunizmu.

ANTONI BOHDZIEWICZ

JESTEM ZBIEGIEM

W tragedjach greckich bohater zdąża jak ślepiec ku nieznanym sobie a strasznym wydarzeniom. Na drogę, z której niema ucieczki, wpycha go często błahy przypadek, ale całą grą kieruje przeznaczenie. Tragizm tej gry potęguje jeszcze okoliczność, że głos wróżby przestrzega zazwyczaj człowieka przed grożącem mu niebezpieczeństwem. Człowiek zabezpiecza się na wszelkie możliwe sposoby, ufa, że uda mu się los oszukać... Niestety, wszystko, co czyni — nie oddala go, lecz zbliża do fatalnego końca. Klasycznym przykładem walki człowieka z przeznaczeniem jest historja sofoklesowa o Edypie. Jean Cocteau opowiedział na nowo dzieje nieszczęśliwego króla i sztukę swoją nazwał „Maszyną piekielną". „Niechże widz ogląda—pisze w prologu—jedną z najdoskonalszych maszyn, jaką bogowie podziemni stworzyli dla unicestwienia jednostki. Maszyna tak nakręcona, że jej sprężyny odwracać się będą wolno, przez cały ciąg życia wybranej ofiary".

W starożytności „maszyna piekielna" była narzędziem bogów. Kiedy zuchwały człowiek starał się Los okpić—bogini zemsty Nemesis przybrawszy postać Sfinksa — stawała na jego drodze i krzyżowała plany zuchwalca. Robota Sfinksa była potrzebna bogom, ale jego zjawienia się ludzie starali się prawdopodobnie wykorzystać i dla ziemskich celów. W sztuce Cocteau kobieta z ludu opowiada, że matki straszą sfinksem dzieci, kapłani — lud, a rewolucjoniści — kapłanów. Tak więc każdy starał się tłumaczyć Sfinksa, jak mu jego własny interes nakazywał. To jest wyraźna aluzja do czasów obecnych. Wprawdzie dzisiaj niema bogów na Olimpie, ale Sfinks jest dalej ludziom potrzebny. Dawne jego zagadki zastąpiły tradycje, przesądy i prawa. A „maszyną piekielną" możnaby nazwać wiele z tych sławnych **zabezpieczeń**, jakiemi się gromada obwarowuje. Taką maszyną rozporządza obecnie każda zbiorowość ludzka i kiedy zechce, potrafi nią zmiażdżyć jednostkę na proch. Biada temu, kto wejdzie w kolizję z dzisiejszym Sfinksem, choćby miał najlepsze racje za sobą, łatwo może się dostać w tryby aparatu, który go zgniecie i wypluje jak niepotrzebną skórkę.

Pierwsze przestępstwo jednostki wymagające kary, to niezadowolenie ze swego losu. Gromada wymaga żeby, jednostka rezygnowała, poddała się losowi.

* * *

Z wojny wracają żołnierze. Szukają pracy, ale ich miejsca są zajęte. Czyż nie powinni uważać za wielką łaskę, kiedy dawny gospodarz pozwala im wrócić do fabryki, czy warsztatu, choćby na gorsze miejsca? Niezadowolenie? Chęć jakichś zmian? Jakieś ambicje? Tego nie powinno się tolerować. Niema dróg ubitych, któreby prowadziły do wyzwolin, do lepszej pozycji w społeczności. Żeby się wybić, trzeba mieć szczęście, zdolności nie wystarczą. Jak kto nie ma szczęścia — może cały kraj przebiec wzdłuż i wszerz, okazji nie znajdzie. A jakże często zamiast wejść wyżej po drabinie społecznej — zejdzie najniżej. Poprzez bezrobocie i nędzę, poprzez brud i wszy nocnych przytułków, aż do przypadkowych znajomości z opryszkami. Nie masz szczęścia, więc znajomość ta skończy się dla ciebie smutno. Wbrew woli i zamiarom możesz być zamieszany w mętną historję, która nie będzie w zgodzie z prawem sytych i dobrze ubranych. Powiedzmy, złapią ciebie w momencie, kiedy trzymałeś w ręku kasę sklepikarza. Nie chciałeś tego kraść, to twój kolega okazał się opryszkiem. Wycelował na ciebie lufę rewolweru i ratując życie, musiałeś robić co kazał. W sądzie możesz się tłumaczyć jak najgęściej — nic to nie pomoże. Sędziego nie obchodzi, że byłeś głodny, że nic nie wiedziałeś o zamiarach opryszka. Brudny i źle ubrany włóczęgo, **uciekałeś**, więc jesteś winien. Zostajesz skazany. A jeśli, dajmy na to, cała historja wydarzy się w Stanach Zjednoczonych, w jakimś Stanie znanym ze swych surowych kar za kradzież — możesz być skazany nawet na ciężkie roboty. To nie jest niemożliwe, czy nieprawdopodobne, to się wydarzyło naprawdę niejakiemu panu Burnse'owi kilka lat temu.

I cóż dalej człowieku w pasy, katorżniku? Musisz teraz pożegnać się z ambicjami, z lepszą przyszłością, ze zdrowiem, z godnością ludzką. Wspaniale zorganizowany aparat męczarni, kajdany i batogi, tłuczenie kamieni na drogach, ścierwo zamiast jedzenia — szybko zabiją w tobie człowieka. Dla gromady przestałeś istnieć, nikt tam nie dowie się, że cierpisz niezasłużenie. Wpadłeś między tryby piekielnej maszyny. Możesz próbować uciec, ale to równa się samobójstwu. Chyba, że uda ci się cudem, że będziesz miał niesłychane szczęście. Już to tak jest wszystko na tym świecie zorganizowane, że trzeba mieć koniecznie szczęście, inaczej do niczego dojść nie można. Wszystko jest oparte na grze, na loterji.

Nie masz nic do stracenia, więc próbujesz. Udaje się! „Bogowie tylko wtedy bawią się najlepiej, kiedy ich ofiara spadnie z wysoka". Więc za pierwszem powodzeniem pójdą inne, trafisz na okazję, wybijesz się, zdobędziesz wykształcenie, sławę i pieniądze. W tem wszystkiem kryje się zdrada, ale ty o tem nic nie wiesz. Bezwątpienia, na powodzenie stokrotnie zasłużyłeś, masz wszelkie prawo być cenionym obywatelem. Ale nie odbyłeś kary, na jaką cię skazało prawo gromady i strażnicy bezdusznej maszyny nigdy ci tego nie darują. W ich oczach jesteś przestępcą, zbiegiem. Kiedy głupi przypadek zdradzi twoją przeszłość, tryby maszyny piekielnej znów zaczną się obracać ze zgrzytem. Twoje szczęście, że mieszkasz w innym Stanie, i że ten nie chce cię wydać sądom, które cię skazały. Ale sfinks użyje podstępu. Pozyska twoje zaufanie i kiedy zgodzisz się dobrowolnie wrócić na krótki czas do więzienia (bo tylko w ten sposób mogą ci „darować winę"), — zdradzi cię najnikczemniej, odda znów w ręce oprawców, którzy potrafią zagryźć tak samo dokładnie, jak mitologiczny Anubis. Teraz już wiesz, bratku, że przegrałeś, że „maszyny piekielnej" oszukać nie można, ani się jej wymknąć.

Gra się nie kończy. Jeszcze raz pozwoli ci Los umknąć, ale to już jest ucieczka fikcyjna. Uciekniesz z katorgi, nie uciekniesz od systemu. Jesteś teraz podwójnym zbiegiem, wszędzie i przez wszystkich ścigany. Pracować nigdzie nie możesz, chodzisz po świecie z piętnem, które ci swoją maszynką wycisnęła gromada, twoi bliźni. Jest to piętno przestępcy. Nigdy nim nie byłeś, nosiłeś kajdany bez żadnej winy. Ale gromada rozumuje naodwrót: nosiłeś kajdany, zatem **jesteś** przestępcą, musisz nim być. System zabezpieczeń działa tak świetnie, że teraz naprawdę zostaniesz przestępcą. Ścigany jak zwierzę — zaczniesz **kraść**. Oto początek karjery, jaką ci wyznaczyla gromada i jej precyzyjnie działające „zabezpieczenia". Teraz wszystkie czoła są uratowane: nieomylność sędziów, sumienie oprawców więziennych, opinja publiczna Stanu, który domagał się twego wydania. Jesteś złodziejem, więc prawdopodobnie byłeś nim zawsze.

* * *

Wstrząsający film „Jestem zbiegiem" to oskarżenie rzucone w twarz społeczeństwu, które żywe zasady sprawiedliwości i prawa potrafiło zamienić w martwe litery, w maszynę do pożerania duszy. Urządzenia społeczne, instytucje i wszelkie zabezpieczenia — spełniają swą pracę z dokładnością automatu, ale jest to automat, który zatracił sens istnienia. Wchłania ofiary jak moloch, nie służy ani idei, ani jednostce, wysługuje się tylko GRZE INTERESÓW. Na automacie widać jeszcze słowa: wolność, równość, braterstwo, ale słów tych nikt już nie rozumie. Napisane są martwym językiem.

„Jestem zbiegiem" — to dokument, to kronika naszych czasów dokonana na odcinku najbardziej mrocznym. Dlatego nikt nie może robić reżyserowi zarzutu, że zastosował zbyt jaskrawy realizm, że nie dał happy-end'u. Te właśnie rzeczy stanowią zaletę filmu, decydują o jego znaczeniu. Widzowi jest przykro przez cały czas, ale się pociesza, że przecie musi być dobry koniec i nieodłączny całus kochanków, po którym można z kina wyjść z lekkiem sercem. I raptem tego końca niema! W ostatniej chwili widz zostaje jeszcze raz wyrwany z błogiej beztroski, uderzony silnie w najczulsze miejsce, w sumienie!

Z kina wyjdzie zaniepokojony, ale to dobrze! Kiedy zobaczy na ulicy biedaka, może nie spojrzy na niego niechętnie, jak obywatel płacący składki na wszelkie „zabezpieczające" fundusze, tylko choć jeden raz — okiem bliźniego, Samarytanina.

Spowodu numeru specjalnego i aktualności kolumny filmowej dalszy ciąg „Mędrców na arenie" ukaże się w Nr. 8-ym

Redaktor naczelny: ANTONI GOŁUBIEW. Redaktor odpowiedzialny: WITOLD RUDZIŃSKI.
Wydawca: WACŁAW TARASIEWICZ. Administrator: ALFONS KACZYŃSKI.



P A X — D W U T Y G O D N I K

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie	bez przesyłki 3,90 zł.;	z przesyłką 4,80 zł.;	zagranicą 7,40 zł.;	w Ameryce 2,80 dol.
półrocznie	„ „ 2,10 „	„ „ 2,50 „	„ 3,90 „	„ „ 1,50 „
kwartalnie	„ „ 1,20 „	„ „ 1,40 „	„ 2,40 „	„ „ 0,90 „

UWAGA: Prenumeratę najwygodniej jest opłacać przy pomocy t. zw. przekazów rozrachunkowych (błękitnych).

OGŁOSZENIA:

Okładka: cała strona — 250 zł.; 1/2 strony — 140 zł.; 1/4 strony — 75 zł.; 1/8 strony — 40 zł.
Wewnątrz: cała strona — 150 zł.; 1/2 strony — 75 zł.; 1/4 strony — 38 zl.; 1/8 strony — 20 zł.

Redakcja czynna: wtorki, czwartki i soboty od godziny 7-ej do godziny 9-ej wieczorem.
W zastępstwie redaktora naczelnego przyjmuje we wtorki od godziny 8-ej do 9-ej wieczorem CZESŁAW ZGORZELSKI.
Administracja czynna codziennie od godziny 6 do 8 wieczorem.

Redakcja i Administracja: Wilno, Metropolitalna 3-8. Konto P.K.O. 144-229

T-wo Wydawnicze „POGOŃ", Drukarnia „PAX", ul. Ignacego 5, tel. 8-93.